

GONIMET

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 10 (22) Lutego 1877 r.

№ 8.



Fotodruk J. Dutkiewicza.

Ludwik Grossmann.

LUDWIK GROSSMANN.

Lat temu dziesięć (w r. 1868), artyści włoscy przedstawili poraz pierwszy operę Grossmana p. t. „Rybak z Palermo.“ Publiczność przyjęła to dzieło życzliwie, krytyka na rzecz jego wypowiedziała zdań rozmaitych mnóstwo, które na żaden sposób powiązać się ze sobą w logicznej zgodzie nie chciały, a byli i tacy, którzy pytali z niechęcią:

— Czemuż to autor pracę swą oddaje Włochom, libretto tłumaczy na język włoski i ufa siłom obcym więcej, niż swojskim?...

Pytanie to było bez sensu. I dzisiaj... alboż można z całą odwagą i wiarą w powodzenie powierzać pracę swą siłom swojskim, gdy te są szczupłe, niepewne, ograniczone do minimum?...

To pewna jednak, że „Rybak z Palermo“ stracił w części na tém, iż go po raz pierwszy na scenie utuliły piersi obce... A przecież „Rybak“ ten powinien był sprowadzać tłumy widzów i przekonać ich, że z twórcą jego należało się liczyć bardzo poważnie.

Grossmann, jako muzyk, nie debiutował bynajmniej w „Rybaku.“ Zналиśmy go już poprzednio z prac artystycznych na polu muzyki lirycznej... Oto przypomniemy tu uwerturę charakterystyczną jego do „Maryi“ Malczeskiego, w której kompozytor ten objawił rzeczywisty talent i umiejętność skończoną władania technicznymi środkami. Nazwisko też jego, aczkolwiek cudzoziemskie, powinno było od owęj chwili mile brzmieć w uchu polskiem, gdy najpierwsze prace Grossmana stały dosyć silnie na swojskim gruncie. Charakter taki noszą liczne jego utwory ulotne, pieśni i kompozycje orkiestrowe i fortepianowe.

W roku 1873, a zatem lat temu trzy, na scenie naszej po raz pierwszy ukazała się nowa opera jego: „Duch wojewody.“ Publiczność przyjęła to piękne dzieło gorąco (miało już ono przeszło trzydzieści przedstawień), autorowi nie szczędziła oznak zadowolenia i uznania... ale mimo to w opinii jęj Grossmann był zawsze zdolnym pracownikiem sztuki, niewykraczającym po za zakres popularyzacji.

Przyznać należy, że jest to wadą smutną naszego wrodzonego usposobienia, iż jaknajmniej ufamy siłom własnym. Dla czynów naszych na polu sztuki czy nauki potrzeba aprobaty obcej, aby w oczach naszych nabrały należytej wartości. Nie ufaliśmy też i pracom Grossmana.

Aż przyszła aprobata obcych a przyniósł ją zeszyły miesiąc z Wiednia.

Przedstawiono tam na jednej z pierwszorzędných scen „Ducha wojewody,“ a przedstawienia tej opery wypadły tak świetnie, powodzenie było tak zdecydowane, krytyka (poważna i surowa) tak wysoko dzieło Grossmana postawiła, iż wszystko to otworzyło nam oczy, a przysłowie „nemo propheta in patria sua“ przypominało nam się... ze wstydem.

„Goniec“ nasz pomieścił już dwa szczegółowe sprawozdania z tych przedstawień wiedeńskich „Ducha wojewody.“ Obecnie nie widziemy potrzeby ich powtarzać (patrz numer „Gońca“ 5 i 6). Dowodzą one że Grossmann, pisząc opery komiczne, bardzo korzystnie wyróżnia się na tém polu od falgangi kompozytorów współczesnych, i że cechą zdecydowaną jego działalności jest nadzwyczajna staranność o charakterystykę, przy tematach szlachetnych, przy opracowaniu drobnotkowo staranném, przy wyborniej instrumentacji.

Prasa wiedeńska, zmuszona do niemiłych pochwał dla cudzoziemca, który tam przyszedł z nad Wisły, tém chlubniej świadczy o jego talencie. Wprawdzie ten i ów dziennikarz korzysta z brzmienia niemieckiego nazwiska Grossmana, aby go zrobić Niemcem, ale kompozytor nasz, urodzony w Turku (guber. Kaliska), a kształcony młodzieńczo w Kaliszu, uśmiecha się zapewne z tych pretensyj wiedeńskich, tak charakteryzujących dążenia nienasyconych potomków teutoburskiego bohatera. Wszak ci to mistrzem jego w muzyce był Rungenhagen, ten sam, u którego kształcił się i nasz wielki twórca „Widm,“ a ten niemiecki kierunek niewiele snadź miał wpływu na autora „Ducha

wojewody,“ skoro Grossmann, idąc za samodzielnym kierunkiem ducha, chylił się stanowczo w kompozycjach swoich w stronę muzyki francuskiej.

Ludwik Grossmann, obok prac swoich muzycznych, ma też i inną dla swojej sztuki zasługę, a mianowicie że dom jego jest bardzo żywém ogniskiem artystycznego życia. Jego wieczory muzyczne, gromadzące najpiękniejsze siły i talenta w poufne kółko, kiedyś opisywane będą w pamiętnikach i wspomnieniach artystów. Cokolwiek znakomite i dzielne w sztuce polskiej, w Warszawie, to gromadzi się u gościnnego stołu Grossmana, zaznajamia się tam nawzajem, wymienia myśli, rzuca pomysły i plany. I tam jest stacya przyjazna dla artystów obcych, przyjeżdżających do Warszawy, w której zawiązują stosunki z artystycznym światem polskim.

Powodzenie Grossmana w Wiedniu zachęci go zapewne do obfitszej produkcji na polu opery. Obecnie posiada on tego rodzaju pracę p. t. *Kornel Hamilton*, oczekującą przedstawienia. Kto wie... może też usłyszymy ją... i słuchać będziemy baczniej, niż niegdyś.

St. M. Rz.

Ty mi każesz iść!

Sen w około — cisza głucha —
Ty mi każesz iść!
Nikt nie widzi nas ni słucha;
W oknie księżyc stanął blady —
Czyż się jego lękasz zdrady
Ty mi każesz iść?

Księżyc zaszedł, drzemie sioło —
Ty mi każesz iść!
Złote oczka gwiazdki kryją,
Myśmy sami — cisza w koło,
Tylko nasze serca biją,
A ty każesz iść!

Patrz, jak tętnią moje skronie;
Ja nie mogę iść!
Burza szczęścia wre w mem łonie;
Połóż dłoń Twą na me skronie, —
Ach jak płoną Twoje dtonie —
Czyliż prawda, mam-że iść!

Szklanny głos Twój drży, Ty wzdychasz
Gdy mi każesz iść!
Rwie ku szczęściu się Twe łono,
A ty szczęście to odpychasz,
W dłoń twarz skryłś zapłonioną,
I... każesz mi iść!

Włodzimierz Zagórski.

BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOWELLA.

(Dalszy ciąg).

— Dziękuję — rzekł gorąco — dziękuję. A teraz... jeszcze prosba. Wysłuchaj jęj pani łaskawie... Kiedym ostatni raz odjeżdżał, upominek twój, owę wiązkę kwiatów uniosłem... jako zadatek serdecznego uczucia. Daruj pani to wspomnienie. Zbyt poważnie patrzmy na życie, aby ono miało być grzechem. Dzisiaj... daruj mi pani znowu ten bukiet fijołków... Będzie to dar przyjaźni...

Helena była wzruszona nad wyraz.. To wszystko co on mówił, dziwnie brzmiało w jęj uszach. Nie była to igraszka z ogniem — czuła to — a przecież... ileż w tém

niebezpieczeństwa. W miejsce odpowiedzi, wyciągnęła do Zawickiego rękę z bukietem. On wziął go i rzekł:

— Moja żona...

— Pan masz żonę?... nagle zapytała kobieta z wyrazem zdziwienia, którego pokryć nie mogła.

— Jestem żonaty od tygodnia.

— Nie wiedziałam o tém — szepnęła.

— Powinienem był to pani powiedzieć... Otóż: moja żona, która zna panią dobrze, choć dla pani obca, pomiędzy skarbnami, jakie zapewni jej w majątku małżonek, otrzyma ten bukietek fiołków. Tę, która go w upominku dała, zawdzięczy ona szczęście życia, jeżeli los go nie poskapi. Najdodatniejsze wpływy młodości, wszystko co mnie kształciło moralnie, co utrzymywało w pracy i energii... była to sielanka młodości, urocza, piękna nad wyraz. Ten bukietek... to kwiaty z niw wiosennych... kwitnące zawsze, choć już w pamięci tylko. A teraz... żegnaj panią. Unoszę skarb przyjaźni, szczęśliwy że go zdobyłem. Zawicki, mówiąc to, uściśnął jej rękę i z wolna odszedł.

* * *

Gdy kotara drzwi za odchodzącym zapadła, a fałdy jej ze zwykłym spokojem ku ziemi się zwiesiły, Helena jeszcze stała na środku swojego pokoju, przecierając dłonią czoło, jakby po przebudzeniu z głębokiego snu.

Cóż to było w samej rzeczy?... Dlaczego ten człowiek budził dawno uszione wspomnienia... a potem... odszedł tak spokojnie, unosząc tylko ze sobą „przyjazne słówko“, które miało mu doskonale wystarczyć... na zawsze może?... A te kwiatki, które tak skwapliwie pochwylił... na co?... Alboż między przeszłością a chwilą obecną nie wszystko już zerwane? Zresztą... on jest żonaty. Ożenił się przed tygodniem, a jest zapewne zanadto rozumny i szlachetnym człowiekiem, by szukał szczęścia gdzieindziej, niż przy tej, którą zaślubił... z miłości niezawodnie!

Helena utonęła w rozpamiętywaniu każdego momentu tych niespodziewanych, a przecież dziwnym urokiem tchnących odwiedzin.

Zawicki chciał je przedstawić jako rzecz naturalną... zapewne; dczegóż ona jednak patrzy na nie, jak na rzecz niewyjaśnionego charakteru, pod którym koniecznie pragnie odczuwać coś tajemniczego. Wspominał o przeszłości; mówił o jej wpływie na życie swoje... natrącił coś nawet o poemacie młodości, o tych chwilach uroczych, a tak dawno już przebrzmiałych, w których dwa serca młodzieńcze uśmiechały się do siebie uśmiechem pogodnego nieba, ukwieconej wiosny i uczuć tak idealnych, tak nieświadomych siebie, a tak słodkich!

Mówił o tém wszystkiemi głosem drżącym; twierdził że ona „powinna być szczęśliwą“... gotów był zapewne przysiąc że szczęśliwą jest... myślała Helena z gorczycą w duszy. A przecież w tej chwili czuje ona głęboko swoje osamotnienie, i jeżeli wie, iż mogą być dla niej promienne, różowe odbłyski szczęścia, to zwracać się musi po nie... do przeszłości!

Helena utonęła w zadumie, która jakkolwiek trwała krótko, przyniosła jej jednak dużo bólesci. Serce jej, dotknięte krwawo zdradą męża, a przed chwilą oto rzucone na pastwę wspomnień, odbywało smutne oscylacje po drodze przeczuć. Przeczucia te snuły się, wywijały jedno z drugiego, rzucając smutną zasłonę na jutro... Nie będzie ono powolną męczarnią, w której skonać przyjdzie?... „Jestem zdradzona i opuszczona!“

To ostatnie słówko, gdy je wyrzekła w cichój kontemplacji, wstrząsnęło ją dreszczem. Opuszczona... przez kogo?... Niestety... Helena nie od razu spostrzegła, że słówko to nie odnosiło się do męża. Do kogoż więc?...

Odwiedziny Zawickiego wywarły przecież i ten skutek, że list „do panny Hortensyi“, jako smutny dokument, spoczywający za paskiem sukni, tracił potrosze w oczach Heleny swoją doniosłość, przybierając tylko cechę niespodzianki. Zdrada mężowska malała z każdą chwilą w rozmiarach swoich, przestała być w przekonaniu czy przeczwaniu Heleny zbrodnią, a stała się bardzo pospolitym występkiem. I ona sama spostrzegła tę reakcją, nie domyślając się bynajmniej jej rzeczywistego powodu. Ani się

domyślała, że rozdwojenie jej moralnej istoty jest właściwie gruntem i dla tej reakcji, i dla jej obecnych uczuć, i wreszcie dla tego słówka „opuszczona“, które wyrzekła bezwiednie... Psychiczne przemiany, którym ulegała od godziny, były tak nagłe, iż analizować ich czasu nie miała.

W tej chwili kotara drzwi uniosła się znowu, ale gorączkowo, gwałtownie, i wszedł szybkim krokiem mąż.

Nie był to już ten sam, spokojny, elegancki, słodki wykwintniś; nie przynosił brylantów, choć brylanty gniewu paliły się w jego oczach a policzki zrumieniło oburzenie. W zaciśniętej dłoni, o dziwo, trzymał bukietek fiołków, a gdy wszedł, stanął na środku pokoju i rzekł przytłumionym głosem:

— Ha!.. więc to tak?... gdy ja biegam... po mieście, pocąc się od pośpiechu w zatławianiu tysiąca interesów, tutaj, spokojnie, cichuteńko... wlece się romansik po za mojami plecami.

Helena spojrzała nań groźnie... Oburzenie piorunem uderzyło w jej serce i zagotowało wszystką krew w jej żyłach. Nie odpowiedziała nic.

— Zwracam ci... te kwiatki — czuły zadatek platonicznych zapewne względów — rzekł z sarkazmem, rzucając na hebanowy stoliczek zmięty bukietek. — Zwracam ci je... wydarłszy pierwój temu, który, obcy, nieznany, śmiał wdziierać się aż tu... do domowego ogniska, co świętym i nietykalnym być powinno.

Helena tymczasem ochłonęła z pierwszego wrażenia. Spoglądała na męża spokojnie już, ale z tym dojmującym wyrazem ironii, który oneśmiela najgwałtowniejsze uniesienie i każe się miarkować.

— Zdziwi cię zapewne, z kąd się wziął ten słodki upominek... miłości w moich rękach?... Nie spodziewałaś się, że mąż, który cię zapewniał o swoim przywiązaniu i tęsknocie, wróci tak szybko. Stało się jednak inaczej. Sprawiedliwy los chciał, abym w progu własnego domu spotkał tego pana... z bukietkiem fiołków... Wydarłem mu je, rzucając wzamian obelgę...

— A on?... — zapytała gwałtownie żona.

— A on... oh! nikczemnik — miał tyle śmiałości, iż uśmiechnął się i wycedził przez zęby: waryat.

Helena uśmiechnęła się w tej chwili także... nie umiając sobie niezawodnie wytłumaczyć dlaczego. W tej chwili jednak dopiero dziwnym przecuciem odgadła, że to ona właśnie, pod wpływem wspomnień, żalu i rozmarzenia w wyobraźni własnej obrzuciła romantycznym blaskiem to, co było istotnie rzeczą naturalną, co było od romansu tak dalekiem, jak wspomnienie od przeszłości...

Odwróciła się z wolna, podeszła ku kozetce, usiadła i rzekła:

— Rozumiem ten traf nadzwyczajny, który ci dał w ręce dowód mojej zdrady. Nie zapięram się... zbrodni, owszem, przyznaję się do niej bez obawy i bez... wstydu.

— Ha!... więc aż tak nisko upadłaś, kobieto... nikczemna!...

— Aż tak nisko — odrzekła z rumieńcem powściągniętego gniewu. — Nie sądź jednakże, iżbym ci w tém wszystkiem nie pozostawiła pociechy. Błądząc... szłam tylko za twoim przykładem. Tyś mi niegdyś przysięgł, iż będziesz mi pomocą, radą i podporą... zaręczałeś że w każdej chwili czuwać nademną będziesz, abym nie uraziła stopy na ostrych wybojach życia... Twój przykład mnie zachęcił, a twoja baczność i troskliwość...

— Mój przykład?... co to znaczy?...

— Ach... nareszcie nie potrzebuję się tłumaczyć. Proszę cię tylko... zabierz swoje brylanty i... i ten bilecik... wyrzucony zapewne przez troskliwą baczność na szczęście ukochanej małżonki.

To mówiąc, Helena wyciągnęła ku mężowi rękę, w której rozpoznał bilecik pisany do panny Hortensyi.

(D. n.)

PYŁKI.

W ubiegłym tygodniu, na dwadzieścia i cztery godzin przed wyjściem numeru *Gońca*, ważna zmiana zaszła w tobie moja kwartalna prenumeratorko... Oto rozdarłaś na znak pokuty szatę balową i zawoławszy skruszona „prochem jestem“ dałaś wszystkim iluzjom i gazom tegorocznych zapust za wygraną...

Niechaj że więc będzie pokuta, żal za tysiące drobnych grzeszków, których królowo balów dopuściłaś się w tym karnawale i niech płyną dni pokory, umartwień i rozpamiętywania, jako też nad znikomością rzeczy ludzkich medytacji.

Wolna od wszelkiej myśli płochęj i lekkiej, piękna żalobniczo, poświęcasz zapewne cały czas swój poważnym zajęciom i pracom co nie z tego świata są... Dobrze! tak być winno—lecz z drugiej strony poważam się wskazać ci szanowna pani, iż prócz czytania *Gońca*, możesz jeszcze resztę czasu obrócić na odczyty, na rzeczy równie mądrych słuchanie lub choćby na teatr i koncerta, których obecnie aż dwa na każdą godzinę dnia przypada.

A przedewszystkiem odczyty! Oto szanowny profesor Łuczkiwicz, co w *Kłosach* długie już lata uczy nas jak żyć należy, wstąpił na katedrę i powiedział piękną rzecz o „młodości zachowaniu.“

Tu jednak zbytkiem byłoby zachęcać cię do słuchania... szło o młodość... więc naturalna iż w sali ratuszowej aż dusiła woń prawdziwych kwiatków warszawskich i że się tam obok nich setki „sztucznych“ już znalazło.

Szło o młodość... o piękność, o siłę ducha i ciała, o świeżość i pogodę, o uśmiech i jasność... gdzieżbyście więc ty moja czytelniczko, twoja przyjaciółka, pani Julia i jej znowu kolezanka, mogły świecić nieobecnością?

Szło o młodość!

A jednak—precz złośliwy duchu — sprawiedliwość co wyższą jest nawet nad całoroczny abonament, wyznać każe iż i na inne odczyty urządzone przez Towarzystwo osad rolnych kwapiłaś się moja droga pani.

Że przypomnę ci tylko hr. St. Tarnowskiego... Czyż nie prawda? Cóż to za szturm był zaciekle o krzesła i choćby cał kwadratowy powietrza. Cóż to za prelegenta wyczekiwanie, jakie słów jego pragnienie?

O! bo też hrabia—profesor, choć mówi z ciężkiej katedry, jednak mówi... *tak jakoś* że się go ciągle słuchać chce, bo każdy wyrazik jest zrozumiany i odczuty każdy.

Pociesz się wszakże chętna wiedzy pani Julio że pan T., i w tym roku oplecie Warszawę siecią swoich słów jedwabnych w przedmiocie bardzo doniosłym zruconych.

Prócz hr. T., mówić będzie mężów innych wielu—między innymi dr. Benni na „Kobietę lekarza“ nowe da światło.

Też i Towarzystwo Dobroczyńności, które ciągle wzbogaca swoimi pomysłami p. Dobiecki, zapowiada na swoją korzyść całą prelekcję serję, przyczem posłuży się osobistościami bardziej znanymi.

Tu przedstawi się wreszcie publicznie Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), pełen humoru (z serca) feljetonista *Kurj. Warszaw.*, z którego kronikami jak niemniej i powieściami sympatyzuje serdecznie warszawska publiczność.

A Bolesław Prus jest człowieczkiem dziwnie skromnym; nie fotografowanym, nie reklamowanym, nie wynoszonym przez przyjacielskie grono na wątpliwą tęgości piedestał.

Idzie on cicho przez życie, z piórem — w łzie często zmazanem—z uśmiechem—z myślą pocziwą całe swoje społeczeństwo kochającą i składa swoje humoreski Bogu na chwałę a ludziom na pożytek.

Boć to z nich i uciecha jest i nauki ziarno.

A żeby już wszystką myśl zrzucić, powiem że mi ten Bolesław Prus nie bardzo z dzisiejszej naszej literatury wydaje się być postacią i że indywidualność jego równie jest oryginalną jak i jej owoce.

Więc niechaj pisze, wiele pisze, drukuje i czyta!

Czyżbym już koniecznie mówić miał o koncertach?

Czy to już kronikarza ciężka dola i nieodmienna. *Diable!* Tu koncerta liczą się na tuziny.

Nasamprzód tedy był koncert pana Horbowskiego, o którym pewien recenzent zawyrokował że jest artystą przyjemnej powierzchowności.

Artysta ma naturę kobiecą; kobieta lubi komplementa. Uważam tu pana Horbowskiego za artystę — powtarzam komplement mego przyjaciela po piórze z dodatkiem o dziwnej wąsów p. Horb. długości i... przechodzę w sprawie tej do porządku dziennego.

Ach! a na tym porządku dziennym znowu koncert! Energiczna i pełna smaku batuta p. Adama Münchhejmera wije się po nad salą reductową na korzyść gimnazjalnych studentów.

Lecz oto *przekoncertowania* skutek. Sala prawie pusta.

A szkoda bo muzyki dobrej dano nam wiele; potężny też duch Wagnera przeciągnął dwa razy nad salą i zelektryzował słuchaczy. Wagnerowicze, mogli być rzeczywiście zentuzjastami doskonałymi wykonaniem uwertury „Faust“ i „Przelotu Walkiryi.“

Miło też jest piszącemu zaznaczyć iż na koncercie tym usłyszał piękny, świeży głos dziewczycy, zapowiadający dobrą przyszłość sceniczną. Był to głos panny Anastazy Szczepkowskiej.

Dobry głos—to skarb, skarb rzadki i cenny. Szukać go czasem ze świecą. W patentowanej nawet ojczyźnie głosów, w Italji rozkosznej, gdzie zda się w każdym gardle krocie spoczywały... dziś nie tak łatwo o ten naturalny, ludzki instrument

Np. w operze włoskiej, goszczącej obecnie w Warszawie—choć grosza nie żalowano—jak mało mamy zdrowych sympatycznych głosów.

A dzieła chwili niniejszej, niestety głównie tej małej rzeczy potrzebują. Wziąć choćby „Aidę“ co trzykrotnie przesunęła się przed okiem naszym w ubiegłym tygodniu.

Tu warunków naturalnych przedewszystkiem potrzeba, „Aida“ bowiem nie może dziś już marzyć o ojczyźnie w takcie do walca zbliżonym lub rozpaczać na tempo marzurka.

Myśmy już za „Traviatą“ i „Rigolettem.“ Sztuka pędzi a choć Verdi zawsze ten sam, gwałtowny, dziki, choć poeta ten sam zawsze—lecz forma się zmieniła. Nie liryczny to śpiewak—lecz wyniósł mistrz tonów. Nie kompozytor arji i zbiorowych numerów, lecz twórca dzieła skończonego, organizmu w którym wszystko przez siebie razem wzięte żyje. Zna on tu siebie doskonale; gdzie mu głos ludzki nie wystarcza, używa instrumentu — a każda postać wypieszczona, wyśniona, wycieniowana najstaranniej.

Patrzcie! dokąd doszedł Verdi! Patrzcie na geniusz włoski. Zaczyna „Tankredem“ a kończy „Tellem“ — debiutuje w „Nabuchodonozorze“ i dobiega do „Aidy.“

Więc Verdiemu potrzeba głosu, a nie wiele już ma go p. Levielli Colonna, szukająca w sztucznych rozpaczliwego ratunku.

I gdyby nie namiętny śpiew p. Stelli Bonheur i piękne usiłowania p. Vincentellego pomyslnym zresztą wieńczone skutkiem — „Aida“ stałaby się u nas niemożliwą.

A tam... daleko... w Weronie... w ziemicy Verdiego śpiewa podobno z wielkim sukcessem pieśń etiopskiej dziewczycy rodaczka nasza p. Friderici Jakowicka. Szkoda... że tak daleko!

Lecz i z obczyzny ciągną do gniazda swojskie ptaki. Mamy gościa. Jest nim p. Michał Trębicki, artysta malarz, który się w sztuce swęj ćwiczył w Londynie.

Artysta pracował dotąd dla siebie. Do atelier jego prócz rodziny i przyjaciół żaden nie zaglądał kupiec. Wystaw też pan Tr. nie akceptował.

Dopiero dziś wystąpił z dwoma obrazkami, które pojawiwszy się w salonie Tow. Zach. Sztuk pięknych, przyniosły mu już wiele pochwał.

Konie maluje pan Tr. z passją znawcy — amatora, krajobraz w szczegółach jest u niego, zanadto wyrzeźbiony, pan zaś wszego stworzenia wychodzi na jego pastelu z całą możliwą starannością.

W tece pono ma artysta—jak nam to niedyskretna

pani Julja mówiła—wiele jeszcze kartonów; szkoda by je było na pastwę molom i innemu robactwu oddawać—bo talent jest a talent to... jak głos dziś rzadki.

Więc by dziś skończyć ze sztuką zanotować należy iż przepiękna poezya także kilkoma w tych dniach ozdobiła się kwiatuskami.

Czyżby to wiosna nadeszła dla liriki naszej ściętej od lat już dziesiątka pseudopozytywistów chłodem?

Widno że tak; gdy stać było Bożymira na skromną lecz piękną piosenkę w *Kurj. Warsz.*, Maryę Elżbietę na kilka dobrych wierszy i poetę *n* na śliczny „sen konwaljowy.“

tc.

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

(Ciąg dalszy).

FILIP (*ociera czoło na str.*). Jakoś mi nie idzie... (*siada przysunąwszy krzesło do kozetki*). Niektórym pomaga guarana... (*Leonora zatapia się w myślach*). Przykro mi patrzeć na cierpienia pani... (*ostrożnie całuje rękę Leonory, wspartą na krawędzi, Leonora nie uważa tego*). Moja babcia leczy się wezykatorją z chrzanu... (*znowu całuje jej dłoń na str.*). Czy ona nie czuje... czy udaje by mię nie zrażać?... Warszawianki są sprytne.

LEONORA. Ach jakże cierpię...

FILIP. Droga pani...

LEONORA (*zmieniając pozycję*). Boże, Boże!

FILIP. Gdyby to w mojej mocy oddałbym pani własną głowę... zdrową.

LEONORA. Oh!

FILIP (*ujmując jej rękę*). Jakie dłonie rozpalone... a główka pozwól pani, ja znam się cokolwiek na medycynie, doktor u nas codziennym gościem, babcia często zapada... (*chce dotknąć dłonią jej czoła, Leonora się usuwa*). Pani za mało używa przechadzki. (*Leonora znów popada w zadumę—Filip przysuwa się coraz bliżej*). Mam przy sobie wodę portugalską, kupioną po drodze, może pani powącha... (*zbliżając flakonik do twarzy Leny, drugą ręką probuje parę razy ująć jej kibić, lecz się cofa—Leonora powąchawszy odsuwa flakonik, Filip nalewa trochę wody na jej rękę i prowadzi by sobie czoło zwiżyła, co Lena skutecznemu*). A cóż, nie lepiej?

LEONORA. Orzeźwiająca woda.

FILIP. Widzi pani... (*z przymileniem*) może więcej? (*podaje flakonik Lena bierze flakonik—on ustami dotyka wyciągniętej ręki, Lena chcąc ją cofnąć, upuszcza flakonik*). Ah!

FILIP (*schyla się celem podniesienia go z ziemi a przykleknąwszy na jedno kolano, szybko w koniuszeczki pantofelka całuje—n. str.*). Ah! tom zuch!

LEONORA. Ah, co to jest! jak pan śmiesz!... co znaczy podobne zuchwalstwo!

FILIP (*przerazony*). Pani, łaskawa pani... (*na str.*) Aj, jak mi serce młócił!

LEONORA. Wyjdź pan, wyjdź natychmiast... To niestychanel!... w pańskim wieku.. Wstydz się dzieciaku!

FILIP. Pani łaskawa, dobra pani... przebac, przebac, sam niewiem jak się to stało... taki śliczny pantofelek różowy... w oczach mi się zaćmiło, zakręciło w głowie... i ot, nieszczęście!

LEONORA. Wyjdź pan.

FILIP. Łaski, przebaczenia! (*wchodzi z lewej strony Eubina*).

SCENA XVII.

LEONORA, ŁUBIN, FILIP.

ŁUBIN. Co tu za hałas?... co się stało?... Nieodpowiadacie?... mówcież...

FILIP. Nic, nic, pani nazbyt jest surową, rozgniewała się na mnie... niesłusznie.

ŁUBIN. Musiałeś coś przeskrobać? Co on zrobił Leno? czego się dopuścił?

LEONORA. Czego dobrze wychowany człowiek nie dopuszcza się względem kobiety.

FILIP. Więc względem kogoż się dopuści? toż w ręce i nogi całuje się kobiety jedynie.

ŁUBIN. Zatem on pocało...

FILIP (*z obawą*). Pantofelek, nic więcej—jak babcie kocham, nic więcej.

LEONORA. Wyjdź pan.

FILIP. Ah, pani zlituj się, to bynajmniej nie w złej myśli, uchowaj Boże... tylko ponieważ wszyscy drwią ze mnie, z mojej nieśmiałości, więc ja żeby pokazać... żeby dowieść... przytem brak wprawy... pantofelek... nakoniec namiętność, która usprawiedliwia wszystko... to niby ryk cielęcia w obec beczenia lwa, wyrazi pani męża w dodatku Janowa zapewniała, że pani nie tylko pierogi lubi... zgola (*na str.*). Aj, gwałtu, nie wybrnę, nie wybrnę!

ŁUBIN. Co ty pleciesz, co bajesz? ryk cielęcia, pierogi, Janowa, czyś zwarzował!

LEONORA. Zuchwalec, (*odchodzi do okna przez które wygląda na ulicę*).

FILIP. Jaj miły Boże! co za niesprawiedliwość! toż ja właśnie dążę dopiero... chciałem podnieść flakonik, kiedy niechcący...

ŁUBIN. To nie do wiary, żeby taki niedorostek roz-zuchwalał się do tego stopnia.

FILIP (*z zadowoleniem*). Więc ja naprawdę jestem zuchwały, no proszę, jak to trudno znać siebie!

ŁUBIN. Napiszę do babki i natychmiast wrócisz do domu.

FILIP. Do domu (*na str.*) Teraz, kiedy zaczynam nabierać wprawy, ani myślę, (*do Eubina*). Być może, iż postąpiłem (*z naciskiem*) zbyt śmiało, przyznaję, zbyt śmiało... lecz zmiłuj się, zamilcz o tem przed babcią, bo widzisz ona pod tym względem posiada całkiem zacofane pojęcia. Nic np. dotąd nie słyszała o stanowisku bezwzględnym, o wyższym sumieniu, o dubeltowej moralności i t. p. awanturach...

ŁUBIN. To też usłyszysz.

FILIP. Bój się Bogaj! Zresztą to nie moja wina; ty sam utrzymywałeś przecie, że kodeksem naszym winno być upodobanie, a twoja żona taka śliczna. Że ożenek to zdanie jednego osła pomnożone przez tysiąc osłów, że opinja to ustępstwo dla motłochu... nie, że ożenek to ustępstwo, zaś opinja to... słowem, że...

ŁUBIN. Gwałtu, co on plecie!

FILIP. Słuchaj pożyczę ci pieniędzy, boś ty pewno jak zwykle, w potrzebie.

ŁUBIN. Chcesz mię przekupić żaku, nic z tego, gotuj się do odjazdu.

FILIP (*z determinacją, ciszej*). Dobrze tedy—jeśli napiszesz do babki, ja powiem twojej żonie com słyszał o Florze.

ŁUBIN (*żywo*). Pst, pst, nie napiszę, tylko milcz. (*podchodząc do Leonory zadumanej przy oknie—sposstrzega kopertę zostawioną przez Ksawerego*). Co to? urządowanie na kolei... dla mnie... zkad? co? i któż to mi wyrobił? kto przyniósł?

LEONORA. Ah, to... mój mąż.

ŁUBIN. Ksawery był tu... i nic mi nie wspominasz? I przyjmujesz go mimo mego zakazu?

LEONORA. Był raz pierwszy.

ŁUBIN. I ostatni, mam nadzieję. Nie myślę rywalizować z przeszłością.

LEONORA. Rywalizować? nie rozumiem.

ŁUBIN. Jeśli sądzi ze pod płaszczykiem ojcóstwa, lub (*potrzęsając papierami*) podobnych heroizmów wkręci się w mój dom, to się grubo myli—jam bystrzejszy od niego. Posady nie przyjmę.

LEONORA. Czy to dla odwrócenia uwagi, napa-
dasz na niewinnego? Pan Filip, próg ten opuścić już był
powinien.

FILIP. Ja pani, ależ jam także niewinny. Junakerja
tylko przelotna, bez żadnych zamiarów na przyszłość, bez
szerokich planów, bez jutra. Ot tak sobie, na próbę...
chwilowe zuchwalstwo nic więcej.

LUBIN (*ciszzej do żony*). To głupi smarkacz, którego
przecież na serjo brać nie podobna. Po cóż z nim zrywać
koniecznie...

LEONORA (*głośno*). Obraził mnie.

FILIP (*na str.*). Więc ona i pieśczoł nie lubi, to
wybredna!

LUBIN. Nie robi tego więcej, dał słowo. Chłopak
uczynny może się przydać z czasem.

LEONORA (*z oburzeniem*). Ah, tego już za wiele!
(*wchodzi Janowa*).

JANOWA. Jakiś woźny z teatru przyniósł to... (*od-
daje paczkę i odchodzi*).

LUBIN (*rozrywa kopertę*). Mój dramat co to znaczy?
(*czyta na pierwszej stronnicy*). „Do zwrotu, dla braku sce-
niczności.“

FILIP. Nie przyjęty?

LUBIN (*z bólem*). Odrzucony! odrzucony.

FILIP. A mówiesz, że już w próbach?

(*D. n.*)

S P O R T.

Hodowla koni. Zarząd stadnin Cesarstwa nabył we Włoszech
trzy zaprzęgowe ogiery (karecienne), kilka pociągów w Anglii, oraz ro-
bocze ogiery w Tambowski gubernii. Konie te przeznaczone zostały na
reproduktorów, w celu polepszenia odpowiednich im gatunków koni w Ce-
sarstwie.

Tenże zarząd stadnin wynajął w Anglii na lat dwa, ogiery pełnej krwi
The Earl (zwycięzcę w Grand prix de Paris) w r. 1868, po Young Mel-
bourne i Bay Celia, za cenę 4,000 rubli. Ogier ten stanowiąc będzie
w Moskwie, w stanownej stajni po cenie rubli 100 od klaczy.

Celem odświeżenia krwi w oddziale kłusowników, w stadnie Chrie-
nowskiem, użyto dla zapłodnienia 7-miu miejscowych klaczy kłusowych,
kilku najznakomitszych ogierów, które odznaczyły się nadzwyczajną szyb-
kością. Ogierzy te są prywatną własnością.

Właściciele stadnin koni kłusowych (rysaków) w cesarstwie, po wię-
kszej części fałszywie zapatrują się na hodowlę tych koni; mało dbając
o klacze stadne, starają się głównie o najlepszych ogierów, płacąc za tako-
wych bajeczne cyfry i pokrywając nimi zły budowy klacze, licząc na to, że
dobry ogier dobremi przymiotami swemi, poprawi niedostatek matek sta-
dnych. Błąd to jest wielki, gdy się wymaga zawiele od reproduktora, a za-
mało od klaczy stadnej. Klacz zwykle przekazuje potomstwu swą zewnę-
trzną formę, jeżeli więc (co zresztą zwykle mieści miejsce) klacz o wiele pod
względem przymiotów swych niżej stoi od reproduktora, czyż tenże jest
w możności dać progeniturze taką doskonałość, którąby bardzo ujemną stro-
nę klaczy stadnej poprawić w żrebięciu mogła. Zdarza się też często, że
przyplódek bardzo nędznym bywa z klaczy, która przeznaczoną została do
stada za okazaną w wyszcigach szybkość, a kształtów i budowy wymaganych
od matek stadnych nieposiada. Szybkość mniej więcej nabyć może koń
przez umiejętne wyjeżdżenie go, ale przy tym wymagana od koni kłusowych
budowę mieć powinien; gdy takowej niema, gdzież czerpać będzie odpowie-
dnia siłę, która w prawidłowym ustroju i potężnej tylko muskulaturze znaj-
dować się może.

Wielu jest takich, którzy przeznaczają na matki stadne klacze po-
chodzące od szlachetnych rodziców, chociaż te wadliwą budową odznaczają
się, w przekonaniu, że mieć będą dobrą i szlachetną progeniturę. Zdarza
się czasem, że potomstwo po takich klaczach bywa niezłe, ale stosunek jest
tak małym, że liczyćby można jeden wypadek dobry na dziesięć złych.

Powrót zaś od złego do dobrego jest arcy-trudnym i na razie do-
konać się nie da.

Do poprawy złego potrzeba czasu, bo wola człowieka na razie niewy-
starcza; tam gdzie czas tylko przy korzystnych warunkach dokonać może
polepszenia i uszlachetnienia potomstwa, tam należy bardzo względnie po-
stępować, aby błędów lekkomyślnie nie popełniać.

Przykład mamy na hr. Orłowie, który posiadając znakomitego ogiera
kłusownika Śmietankę, po kilku dopiero generacjach dochował się po nim
kłusowników (rysaków), które odznaczały się taką doskonałością i zaletami
jakich dziś w tego rodzaju koniach dopatrzeć się trudno.

Nie dać się wyradzać koniom tej rasy i utrzymywać ją w czystości
jest rzeczą trudną, ale też i możliwą; pamiętać tylko zawsze należy i mieć
przed oczyma dawnego konia kłusownika ze stada Orłowskiego, kształt
jego i przymioty, które go od innych koni wyróżniały. W przeciwnym zaś
razie spodziewać się tylko można takiego wyrodzenia się, jakie spotkało
znany, i odznaczający się najlepszymi przymiotami gatunek wierzchowych
koni stada hr. Orłowa, który zupełnie zaginął.

Dawny Orłowski kłusownik (rysak) odznaczał się dobrym wzrostem,
małą główką, okiem wypukłym, grubemi końcami, ale przy tym i suchą nogą,
był pięknym, silnie zbudowanym, posiadał wiele energii i szybkość nie-
zwyczajną.

Niestety dziś typ ten zaginął, a szkoda to wielka, bo dawne wspa-
niałe kłusowniki zastąpione zostały przez konie terażniejszej nędznej fabry-
kacji. Jeżeli trafiają się czasem konie z dobrymi końcami i wzrostu dobre-
go, to niezawodnie zeszpecone bywają dużym i ciężkim łbem, długimi
i ciężkimi uszami i małemi zaspami oczami. Piękny zaś i przystojny koń,
dobry kłus posiadający, najczęściej bywa bez kości i na drewnianych usta-
wiony nóżkach, któremi jak na klawiszach zdaje się przebieierać.

Jeżeli zaś zdarzy się szybkością odznaczający się koń, to z kształ-
tów z pewnością podobniejszym będzie do kirgizkiego lub kozackiego ale
nigdy do dawnego typu Orłowskich kłusowników.

Zreassumowawszy rzecz całą, przyznać trzeba, że pomiędzy najsla-
wniejszymi kłusownikami, bardzo mało jest takich, które zachowały typ
koni Orłowskich; inné znowu nowego już pokroju, niewielkiej są wartości.

Dla tego też należy wziąć się do racjonalnej hodowli i zacząć od
tego, ażeby klacze stadne podzielić na 3 działy.

Do działu pierwszego zaliczyć należy klacze najlepszej i naj-
prawidłowszej budowy oraz najszlachetniejszego pochodzenia; te użyćby na-
leżało, jako tak zwane szczerpawce matki i pokrywać ogierami odznaczające-
mi się budową, siłą, szybkością, i szlachetnością pochodzenia; uważać też
należy, ażeby ogiery przewagę miały w swych kształtach, nad ujemną
stroną przeznaczonych sobie klaczy. Potomstwo w ten sposób otrzymane,
powinno poprawiać całą stadninę, dopóki odświeżenie krwi nieokazuje się
potrzebnym. W ogóle szczególną uwagę zwracać należy na progeniturę,
i jeżeli w niej okażą się jakie nieprawidłowości w budowie, szukać trzeba
złego u rodziców, a jeżeli u nich nic się nie znajdzie, to z pewnością wada
pochodzić będzie od dziadów lub pradziadów, której niepodobna tak łatwo
w dalszym potomstwie poprawić. Wybór zatem owych matek szczerpawych
powinien być bardzo staranny i oględny.

Dział drugi stanowią winny klacze dobrej budowy, które jeżeli
z powodu pewnych zboczeń w budowie nie mogą należeć do działu 1-go,
to jednakże przez szlachetne swe pochodzenie zasługują na pomieszczenie
w dziale drugim.

Do działu trzeciego zaliczymy klacze szybkością biegu odznaczające
się, ale zato pozbawione tej budowy i tych kształtów, któremi klacze dwóch
pierwszych działów odznaczają się winny. Rzecz prosta, że i klacze osta-
tnich dwóch działów pokrywane być winny doskonałymi ogierami, ażeby
progenitura stopniowo ulepszana była; główną atoli uwagę, hodowca zwró-
cić winien na klacze dział pierwszy stanowiąc, potomstwo tych bowiem
mieć będzie zadanie uszlachetniać całą stadninę i z czasem doprowadzić tak-
ową do tych typów, do których tak wszyscy niestety nieumiejętnie dążą,
a które stać się mają typem dawnych Orłowskich kłusowników (rysaków).

Stadnina hsiążąt Sanguszków.

(ciąg dalszy)

Stado chrestowieckie po zgonie ks. Hieronima w r. 1812, zebrano
u siebie stada miejscowe innych posiadłości starostwa czerkaskiego, i ilinie-
ckie na Ukrainie.

W tym roku majątek był sekwestrowany i stado o tyle ocalało, o ile
uratowane zostało przez ukrycie go w wielkim w owych czasach lesie smoł-
derowskim.

Długo potem słynęło stado Kumberleja w Małej Rosyi, tem miano-
wicie że pochodziło z zabranych w r. 1812 kobył Chrestowieckich, gdy
był gubernatorem na Wołyniu.

Gdy wojny przeciw Muzułmanom i przeciw Tatarom krymskim ustały,
da a się czuć potrzeba posiadania rassowych wschodnich ogierów, których
da wnieć wojny dostarczały; rząd kilku z wielkich ziemskich właścicieli za-
częto posyłać po ogiery do Stambułu. Sprowadzić zaś z Arabii, zdarzyło
się tylko ks. wojewodzie wołyńskiemu wtenczas, gdy nikt w Europie tego
jeszcze nie czynił. Wstał na ten cel prawdziwą wyprawę, na czele której
był Burski, domownik księcia.

Istnieje wieść, że pierwszym koniem arabskim stada Chrestowieckiego
był ogier skarogniady, sprowadzony ze Stambułu dla króla Stanisława
Augusta; lecz w oczach króla, przyzwyczajonego do upodobań zachodu Eu-
ropy, był małego wzrostu, i darowany był Politowskiemu, przy dworze
królewskim będącemu. Ks. wojewoda wołyński kupił go i trzymał w sta-
dzie pod tem nazwiskiem.

Burski po kilku latach podróży, wrócił i przyprowadził 5 ogierów.
Pierwszy ten transport ogierów arabskich, w owym czasie tak trudny, zo-
stał już w stadnie ważne skutki. Gdy ks. Eustachy, syn ks. wojewody
wołyńskiego w r. 1813, na mocy ogólnej amnestyi, wrócił do swoich mają-

tków, nabył w Jassach od głównokomenderującego generała Gudowicza, pozostałych z wojen tureckich pięć ogierów; lecz te długo nie służyły, bo ich użycie przy stadzie Chrestowieckim pokazało się niewłaściwe, mianowicie po prawdziwych arabach poprzednio przyprowadzonych przez Burskiego. Wtenczas to, ks. Eustachy zamyslił naśladować swego ojca, i przedsięwziąć drugą wyprawę po ogiery do samej Arabii.

Nim wrócimy do tej wyprawy, wspomnieć należy, że w owym czasie był u ks. Eustachego koń, który dzielnością zrobił sobie imię prawie historyczne.

Ten wierzchowy, kary, dzielny koń księcia, nazywał się Szumka I. Brat starszy tego konia równie piękny, lecz mniejszy i niedochodzący go dzielnością, był darowany w r. 1810 przez ks. Eustachego, ks. Józefowi Poniatowskiemu, który na nim prawie zawsze jeździł i na nim był malowany.

Nakoniec ks. Eustachy przygotował długo upragnioną wyprawę do Arabii, i w 1816 r. wysłał ją pod dowództwem koniuszego Moszyńskiego.

W r. 1818, w listopadzie wrócił Moszyński, przyprowadził 10 koni oryginalnych, z których biały Hajlan i szpakowaty Dzielfa, były ogierami pierwszej dobroci.

Z potomstwa Hajlana najbardziej odznaczał się kary Szumka II, od kobyły Polki.

Polka nie była klaczą czysto arabską; ojciec jej był wiśniowogniady i kupiony w Wiedniu około r. 1790. Powiadają nawet, że ks. Eustachy sztuką i śmiałością jazdy na tym koniu bardzo złośliwym, wygrał zakładem prawo kupienia go.

Między latami 1821 i 1826, przybywały transporta koni z Arabii peryodycznie, i ks. Eustachy utrzymywał w Alepie, przez lat kilka Araba Syryjczyka nazwiskiem Arutin, którego obowiązkiem było prowadzenie do Sławuty, lub do Odessy, zakupionych na wschodzie koni arabskich.

Od r. 1842 znowu po przerwie kilkoletniej, zaczęły nowe przybywać ogiery arabskie: Dżeran kasztanowaty, Batran Aga biały, ogier stadny pierwszej klasy i wielu innych.

Trzecią wyprawę stadną do Arabii odbył ks. Roman Sanguszko starszy. Czwarta odbyła się w r. 1857—8, pod dowództwem dwóch urzędników stada pp. Swierczyńskiego i Czerniawskiego, którzy przyprowadzili konie znakomite.

Razem więc począwszy od r. 1800 księżęta Sanguszkowie sprowadzili oryginalnych ogierów i klaczy z Arabii po d. 1 Czerwca 1872 roku sztuk 62.

Konie te z wielkim trudem i kosztem lecz starannie i umiejętnie w Arabii dobięte, silnie wpłynęły na uszlachetnienie stadnin ks. Sanguszków. Postawiły też na najwyższym stopniu doskonałości i szlachetności całą swoją progeniturę, a wszystko dzięki niezmordowanej pracy, amatorstwu i wielkiemu znawstwu księcia Romana Sanguszki starszego, który po dziś dzień jeszcze, bez względu na podeszły wiek swój, jest bardzo czynnym, sprowadza ze wschodu pyszne okazy i wszystkie rozporządzenia dotyczące stanowienia i doboru ogierów do klaczy, sam ciągle wydaje.

Rezultaty tej pracy są arcy-widoczne, raz przez uznanie i sławę jaką stadniny ks. Romana Sanguszki starszego od dawna posiadają, a następnie przez wielką konkurencyę, jaką przy sprzedaży koni Sanguszkowskich zwykle miewa miejsce.

Pożytek zaś jaki krajowi konie te przynoszą jest niezmiernie ważnym; daje bowiem doskonałych reproduktorów amatorom koni arabskich; a przy tem, konie te pięknymi kształtami swemi, dobrą budową i użytecznością, zachęcają wielu bardzo do hodowli koni.

— Przy rozpoczynającej się wkrótce porze stanowienia, poszukujący ogiera stadnego nabyć mogą takowego w pałacu hrabiów Potockich obok kościoła Wizytek na Krakowskim-Przedmieściu; koń ten nazwiskiem „Orlands“ lat 8 mający, pochodzi ze znaniej stadniny hr. Maurycego Potockiego w dobrach Horodno gub. Wileńskiej znajdującej się. Jest on anglo-arabskiego pochodzenia po arabskim „Zawisza“ ze stada hr. Juliusza Dzieduszyckiego i po klaczy angielskiej „Orlandy“.

Wyścigi. Znajdujący się obecnie w Chantilly w treningu, 3 letni ogier Darck-Blue, urodzony w Sernikach, własność hr. Ludwika Grabowskiego, ubiegać się będzie w roku bieżącym w Paryżu o nagrodę 100,000 franków.

Darck Blue oraz klacz 2-u letnia Sarah Bernard i ogier roczniak bez nazwiska, urodzone w Sernikach, pochodzą od sławnego Weatherbit'a, który był po ogierze Sheet-Anchor i klaczy Miss Letty matce Letitii padłej w Sernikach.

Weatherbit był ojcem Beadsmana z klaczy Mendicant.

Beadsman był ojcem Blue-Gown z klaczy Bas-Bleu po Stockwella, z którego jest ogier Darck-Blue, wzmiankowana klacz Sarah Bernard i roczniaczek.

Po Beadsmanie żyjące dziś znakomite konie są następujące:

1. The Palmer w Graditz, z klaczy Madame Eglantine.
2. Rosicrucian z teje klaczy.
3. Green Slave z klaczy M-ss Quickly.
4. Pero-Gomez z klaczy Salamanca.

Wyścigowa stajnia p. Alfreda Mysłowskiego w Koropcu w Galicyi.

Trener i Dżokier Robert Viney trenuje następujące konie na rok bieżący:

- 5-0 letni ciemno-gniady ogier Piorun po Ramie i Star.
- 3-y letnia ciemno-gniada klacz Trąbka po Sygnale i Kochance.
- 3-y letni gniady ogier po Sygnale pół-krwi.
- 2-u letni gniady ogier Young Blinkhoolie po Blinkhoolie i Curieuse.
- 2-u letnia ciemnogniada klacz Revanche po Buccaneerze i Fleur de Marie.

2-u letni kasztanowaty ogier Forest-King po Buccaneerze i Star.

Polowania. W ciągu tegorocznych polowań do najświetniejszych należą, wydane przez p. Władysława Tomickiego właściciela dóbr Kożuszki pod Sochaczewem polowanie, na którym zastrzelono na stosunkowo bardzo małej przestrzeni leśnej zając sztuk 93 i lisa jednego.

P. Tomicki wydaje raz do roku większe polowanie, a jako dobry myśliwy i wielce troskliwy o zwierzostan w swęj kniei, prócz wszelkich możliwych środków użytych do zachowania zwierzyny, naznaczył kary za bicie sarn w czasie niewłaściwym. Środek ten godnym jest naśladowania; powstrzymuje albowiem choć w części od strzelania sarn, chciwych łupu a niedelikatnych pseudo-myśliwych, znajdujących się czasem pomiędzy zaproszonymi gośćmi.

W Czerwoncu pod Sochaczewem, na odbytem polowaniu zastrzelono 29 zające i lisa jednego.

W Oborach pod Warszawą, u hr. Potulickiego odbyło się w d. 14 Lutego r. b., polowanie na którym zabito 3 kozły, lisa i 33 zające. Strzelano też do niespodziewanego w jednym z miotów dzika pojedynka, który loftkami pogłaskany będąc, powędrował dalej zdrów i wesół, nietroszcząc się o swą skórę.

Porządek prawdziwie wojskowy panował na całym tem polowaniu.

W kniejach Radziejowskich własnością hr. Józefa Krasieńskiego będących odbyło się w tym roku małe polowanie; zakładano bowiem tylko w miejscowościach gdzie przebywa mniejsza zwierzyna; na polowaniu tem ubito wcale pokazną cyfrę zające, bo aż sztuk 67 oraz 3 lisów.

Lasy Radziejowskie są ostoją dzików i sarn, w dość znacznej ilości tam znajdujących się; racjonalnie prowadzone myślistwo, zachowuje zwierzynę, którą w sąsiednich lasach wytrzebiono już prawie do szczętu.

Kupna i sprzedaże. P. Gołwin posiadacz dwóch najszybszych tegoczesnych kłusowników Potiesznowo i Pierca, kupił od p. Wołkowa, za cenę Rs. 5,000 znakomitego ogiera karego Wiernawo, który zdobył w r. z. Cesarską nagrodę w Moskwie; a w wyścigu na biednych Stawian przebiegł wiorst 3 w 5 minut i 6 sekund.

O sprzedaży koni w stadninach rządowych w r. 1877. Stosownie do rozporządzenia głównego Zarządu stad rządowych, sprzedane zostaną przez licytację konie do następujących stad należące:

a) w stadzie Chrienowskim (Woroneńska gub., Bobrowski powiat), w 4 i 5 Czerwca r. b. o g. 9-tej z rana: 1) stare matki stadne, wierzchowe i kłusowe, wszystkie odstanowione, 2) ogiery i klacze, 4-0 letnie i młodsze od nich wierzchowe i kłusowe i 3) kilka koni pełnej krwi angielskiej rozmaitego wieku.

b) W Limarjewie (gub. Charkowska, powiat Starobielski), w d. 9 i 10 Czerwca o god. 9-tej z rana: 1) stare klacze stadne odstanowione, 2) ogiery i klacze, 4-0 letnie i młodsze od nich i 3) kilka arabskich ogierów czystej krwi i rozmaitego wieku.

c) W stadzie Janowskim (gub. Siedlecka), d. 2-go Września o god. 9-tej rano, stare matki stadne odstanowione, ogiery i klacze 4-0 letnie i młodsze. W przedmiocie sprzedaży koni ze stada Orenburskiego nastąpi rozporządzenie oddzielne.

High life. Dochodzą nas wiadomości o kilku zawrzeć się mających wkrótce po Wielkiej Nocy r. b. związkach małżeńskich, pomiędzy osobami do wielkiego świata należącymi, a mianowicie: hr. Kaczyńskiego z Poznania z hr. Maryą Krasieńską córką s. p. Zygmunta hr. Krasieńskiego i s. p. Elżbiety z hr. Branickich; Artura hr. Potockiego, syna s. p. hr. Adama Potockiego z Krzeszowic w Galicyi i Katarzyny z hr. Branickich, z księżniczką Teresą Lubomirską córką s. p. ks. Jerzego Lubomirskiego Ordynata Przeworskiego w Galicyi i Cecylii z hr. Zamojskich; oraz hr. Antoniego Wodzickiego z p. Żurowską z Wołynia.

— Zygmunt Wielopolski Ordynat margrabia Myszkowski, w tych dniach przybył do Warszawy.

— Hr. August Potocki wyjechał z Warszawy, udając się na Wołyn do dóbr Horodeńskich, a następnie na kontrakty w Kijowie. **J. N.**

ADMINISTRACJA „GONCA TEATRALNEGO”

ma honor upraszać JW. i W. PP. o nadesłanie zaległej prenumeraty za kwartał 1-szy r. b.

Prenumeratę uprasza się nadsłać wprost do Administracji „Gonca“ ulica Nowolipki Nr. 3.

Qui pro quo.



WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:

Rocznie	Rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ 50

w Cesarstwie i na prowincyi:

Rocznie	Rs. 12
Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 3

Cena numeru pojedynczego
kop. 20.